



mieszako się wszystko, tak, że niczego nie mogłam już rozróżnić.

Stałam na wszelki wypadek ze wszystkimi i patrzyłam jak rozkładają swój biwak na placu, jak się po cichu naradzają, jak się jeden po drugim rozchodzą. I podszedłam do jednego z koni, do konia, który miał na łbie białą gwiazdę, ~~ixxxxxxxxxxxxxxx~~ do konia kasztanowego z białą gwiazdą na łbie i wsadziłam mu w pysk kostkę cukru, a koń dwa razy zgryzł ją swoimi żółtymi zębami i przestępując z kopyta na kopyto czekał na powtórkę. A ja nie mając drugiej kostki cukru odwróciłam się, a gdy się odwróciłam koń liznął mnie po włosach, a gdy się do końca odwróciłam zobaczyłam, że ten mały, ten najmniejszy, ten ostatni w szeregu, drażujący na końcu oddziału, patrzy na mnie, przygląda się mi, śledzi mnie wzrokiem. Jak on mi się tak przyglądał, gapił się na mnie natarczywie, pomyślałam sobie, pomyślałam sobie prędko, że właściwie jestem jeszcze mała, że wczoraj zaglądałam do wnętrza wielkiej, szklanej kuli leżącej w kuchni na pomalowanym niebieską farbą kredensie, i że w tej kuli, niby w głębinie morskiej, wśród wtopionych w nią żyłek kolorowego szkła i baniek powietrza, odnajdywałam różne rzeczy, których tam nie było, a które ja jednak odnajdywałam, choć ich nie było. Z pewnością myślałam, że jestem jeszcze mała, ale im dłużej o tym myślałam, ~~ale im dłużej o tym myślałam~~, tym mniej byłam pewna, że tak jest naprawdę i roszłam, i wydkużałam się, i zakręślałam, i włosy moje gwałtownie nabierały połysku, i ramiona stawały się pełniejsze, a oczy napełniły blask. I chłopiec patrzący na mnie rósł, męźniał, unieźniał się, stawał się bardziej kościsty, a jego dziecinne, błękitne beztraskie rysy jakby ściał nagły mróz, jakby osmolił je czarny dym. I w trakcie tego wzajemnego oglądania uśmiechnęłam się do niego, uśmiechnęłam się nie głupkowatym i rozlazłym uśmiechem dziewczyny, która niczego nie rozumie i uśmiecha się ot tak, na

wszelki wypadek, a w gruncie rzeczy mogłaby równie dobrze zabezpieczyć, uśmiechnęłam się do niego takim uśmiechem, który on zrozumiał i odpłacił mi słowami, które ja zrozumiałam.

- To ładnie, że karmisz nasze konie.

A gdy zaczął zapadać zmrok, gdy ciemność legnąca się nad łąkami aż nad miasto zawędrowała, parna i duszna, burzę gdzieś z daleka wiodącą, burzę i wiatr i szum ulistnionych drzew, któryś z nich rzucił myśl, by tu, na środku placu rozpalić ognisko, uszykować wielki ogień i przy tym ogniu poswawolić nieco, pośpiewać, potańczyć. Więc się wszyscy zakrzętnęli i coż który miał przynosić, to skrawek deski, to bierwiono, to karczoch wyschnięty na szczapę, to drzwi stare w ogrodzie leżące. Przynosili drzewo i na wielki stos rzucali, a gdy się już dużo uzbierało, mężczyzna jakiś w ażurowej koszuli, mężczyzna muskularny na szofera mi wyglądający, bankę benzyny przyniósł i chlusnął na drzewo. A mały mój zapakki dobył z kieszeni swojej niezgłębionej, potark łebkiem o draskę i w jednej chwili buchnął płomień i jasnymi jezorami objął drzewo. I zrobiło się prędko widno, gorąco jak przy pożarze, wesoło i bezpiecznie. Spiewać zaczęli byli żołnierze, z wojny wracający oberwańcy, śpiewać zaczęli swoje pieśni to smutne, to wesołe, sławiące ich czyny bohaterskie i tchórzostwo wroga wciąż uciekającego, wciąż cofającego się ~~w tył~~, póki nie przyszedł moment, wielki moment, kiedy ten wróg znienawidzony nie miał już gdzie uciekać i przyparty został do murów, zmuszony do odrzucenia broni i podniesienia w górę rąk. Ładnie to wszystko wyglądało w ich piosenkach, pewnie wiele ładniej niż w rzeczywistości, już ja to wiem. Śpiewali nie zawsze czysto, nie zawsze jak trzeba, było kilku takich, których nawet wojna śpiewać nie nauczyła, ale nawet i ci śpiewali nie wstydząc się swojego fałszowania. I nasi miejscowi ludzie przyłączali się jeden po dru-

gim do tego śpiewania, początkowo nucąc tylko melodię, a później w miarę upływu czasu, nauczeni przez żołnierzy, śpiewali na równi z nimi, melodie ze słowami. A gdy zakończono śpiewy zaczęły się rozmowy, pogawędki, narady, nie jakieś mowy napuszone, nie przemówienia suche, lecz serdeczne, przyjacielskie rozmowy swoich ze swoimi, w blasku ognia, pod niebem, które tego wieczoru, bezksiężycowe nad ziemią wyprażoną słonecznym żarem wisiało. Od sadów i ogrodów szły zapachy, wonie, aromaty, jak to latem, zlewały się ze śwędem płonących szczap, z dalekim i gasnącym powiewem burzy, która nas ominęła, przetoczyła się gdzieś nad polami, kilka razy gniewnie błysnęła i tyle ją widzieliśmy.

Chłopiec przez cały czas siedział koło mnie, na ziemi, na twardo ubitym gruncie placowym i nic nie mówił tylko myślał ~~na~~ czymś zawzięcie aż mu się czoło marszczyło. I słuchał, i patrzył, i podziwiał, co się wokół niego dzieje. Przysunęłam się więc do niego odrobinę, troszeczkę tylko się do niego przysunęłam, chwyciłam go za rękaw jego bluzy steranej, poczułam pod tym rękawem ramię prężne, życiem tętniące i powiedziałam "chodź". To właśnie powiedziałam, a on spojrzął na mnie, zajrzał mi w oczy radośnie, z wdzięcznością, z nadzieją, z wiarą. Pocichutku wykradliśmy się z kręgu skupionych przy ogniu ludzi, biegiem przemknęliśmy przez plac, żeby nas nikt nie zobaczył i dysząc, i prychnając dotarliśmy do bitego traktu, a stamtąd mnie tylko znaną drogą, przez ogrody, rowy i dziury w parkanach, szybko, byle prędzej opuścić miasto, by znaleźć się tam, gdzie już nikt nas nie odszuka i nie przepłoszy, biegliśmy niestrudzenie. Ciemność nas obejmowała, brała w swoją opiekę, wabiła i kusiała bogactwem ukrytych w jej głębi kształtów. Ciemność już właściwie śródnocna, ze wszystkich ciemności najciemniejsza, dotykalna jak draperia z gęsto tkanego płótna.

W tej ciemności, on i ja, obydwójce, czuliśmy się bezpie-

cznie. Nie baliśmy się ciemności, nikt w tym czasie nie bał się ciemności, wszyscy byli z ciemnością oswojeni i miało to jeszcze długo trwać. Dzień, słoneczny blask, ogrody zalane światłem, to są rzeczy, myślę, bezprzecznie bardzo piękne, pożądane, upragnione. Ale gdy grozi niebezpieczeństwo, gdy dzień twój ~~zakończy~~ i godzina są nieznane, lepsza jest ciemność, kryjówka najdoskonalsza. On, chłopiec, wiedział o tym lepiej ode mnie, znał lepiej niezgłębioną dobroć ciemności, ale ja też wiedziałam, co trzeba.

Wyszliśmy wreszcie na płaskie pole, na ściernisko zastawione jeszcze snopami. Wiedziałam, że na prawo stoi porzucona fura, i że gdy dostrzeże się w mroku jej zarys, jej godzący w niebo dyszel, należy ją obejść i skręcić w stronę grupy topól, wysokich, schnących już ze starości, pochylonych nad kamieniem, ~~na~~ Nie nad zwykłym kamieniem polnym leżącym gdzieś hen, daleko, ~~ka~~ lecz nad kamieniem, pod którym złożono prochy powstańców styczniowych, kamieniem pocentkowanym śladami pocisków z wielu innych wojen. Kamień ten leżał tu od wieków, powstańcy jakby specjalnie to miejsce wybrali na potyczkę z wrogiem, żeby się przyszłe pokolenia nie trudziły, żeby pomnik był na tym samym miejscu, co śmierć. Pozostało więc przyszłym pokoleniom tylko ciała pozbierać, dół wykopać, tablicę pamiątkową wywiesić i od czasu do czasu uroczystości odprawić. Często przechodząc koło tego kamienia myślałam, że piękniejszej śmierci nie można sobie wyobrazić, że nie ma na świecie drugiej takiej mogiły. Widziałam noc, konie, jeźdźców pochylonych. Słyszałam szczeł oręża, odważne okrzyki, jęki bólu. Przywykłam już do tego, że gdzie się ruszę po tej naszej ziemi tam groby i mogiły, a on, chłopiec, przywykł chyba do tego jeszcze bardziej. I oczy jego przywykły do ciemności, wpiły się w nią, zlały w jedno, bo teraz

szedł już śmiało przed siebie, a ja tylko wołałam głośno, jakby przygłuchy był albo niespełna rozumu.

- Prosto. Prosto.

Chciałam mu pokazać moje skonorosła, moją ziemię, miejsce moich ucieczek i rozmyślań. Chciałam mu zdradzić tajemnicę moich wypraw za miasto, podzielić się z nim moimi marzeniami, wypróbować go, zobaczyć czy się będzie z nich śmiał, czy potraktuje je poważnie.

Lecz nim jeszcze doszliśmy do grupy topól on położył mi rękę na ramieniu i ręka ta, mimo że był mały i na pierwszy rzut oka nawet drobny, była ciężka i sprawiała mi ból. Próbowałam więc ją odepchnąć, zrzucić, umknąć spod niej, wywinąć się i uciec w ciemność gdzie nikt mnie nie doścignie. On był jednak sprytny ten mały, zręczny, przytrzymał mnie i przyciągnął do siebie tak gwałtownie, że zderzyliśmy się twarzami. A gdy mnie już przyciągnął, gdy trzymał mnie tak silnie, że uciec nie mogłam, zanurzył swoją rękę w moich włosach, włosach rosnących dotąd tak swobodnie, prostych i długich, i zaczął je gładzić, przesypywać w palcach.

- Puść. - powiedziałam. - Jeszcze mam czas.

I wtedy on się odezwał, wtedy właściwie usłyszałam po raz pierwszy jego głos na dobre.

- Ale ja nie mam czasu. Ja już swój czas straciłem. Ja nie będę czekał. Ja cię nie oddam takiemu, co całą wojnę za piecem siedział. Ja mam do ciebie prawo większe niż ktokolwiek. Ja mam prawo największe.

Prawo? O czym on mówił, ten mały? Znawca, spec ledwie od ziemi odrosły? Spojrzałam mu w twarz oczami przywykłymi już do ciemności, przypatrzyłam się dobrze jego twarzy, przejrzałam jego twarz na wylot. Nie mówiłam jeszcze, że w najgęstszym mroku, w mroku skupionym jak ścięta mrozem woda, w mroku, który tkwi

gdzieś chyba w głębi ziemi ukryty, zagrzebany, potrafiłam niekiedy odszukać coś jakby do światła podobnego, ognistą kulę radośnie wirującą przed oczami, zółty kwiat dojrzewający pracowicie w letnim skwarze. To właśnie mi się i teraz przydarzyło, kiedy na niego spojrzałam. To wystarczyło, żebym sięgnęła ręką po jego włosy kędzierzawe, po policzki roześmiane, po czoło leciutko tylko zmarszczone. I nie potrzebne mi było do tego żadnego prawa, lecz moja własna radość, moje własne pragnienie uczyńnięcia z tego dnia powszedniego, z tego wieczoru jak inne, z tej godziny nie różniącej się wiele od zwykłych godzin, chwili świątecznej, wolnej od lęku, zwycięskiej. Podobał mi się ten mały, i podobał mi się nawet z całą tą swoją gadaniną o rzekomym prawie. Niech sobie bajdurzy, pomyślałam, niech się puszy i nadyma jak trębacz na weselu, jeśli tak go jego koledzy nauczyli.

Nie myślałam jednak nigdy, do głowy mi nie przyszło, że tak prędko, tak gwałtownie, w tak znikomym kawałku czasu dziewczyna może przeobrazić się w kobietę, chłopiec w mężczyznę, najświeższa, ledwie poczęta młodość w zapowiedź dojrzałości, oczekiwanie w spełnienie. I to nie ja, lecz mój mały rozpłakał się, a ja słysząc ten płacz aż przylgnęłam do ziemi z radości. Jakaś ty słaba pani wojno - szeptałam do siebie samej - jakaś ty bezsilna, jakaś bezradna, skoroś nie zniszczyła tych łez najpiękniejszych, skoroś nie wypaliła ich ogniem i nie wykrzewiła żelazem, skoro płyną rześście i tryumfują nad tobą. Płacz mały, nawet nie wiesz ile siły, ile nieprzejednania, ile wiary i bohaterstwa jest w twoim płaczu. I ja i ty, obydwójce, choć w różnych miejscach Ziemi, choć daleko od siebie, widzieliśmy ludzi skutych strachem, prowadzonych nad brzeg przepaści najstraszniejsze; Ci nigdy nie płakali tak jak ty płaczesz teraz. Ci już byli zmienieni w sople lodu, ci umarli jeszcze przed własną śmiercią,

przestali żyć zanim im życie odebrano.

A kiedy się już mój mały napłakał, kiedy uronił już dostateczną ilość swoich łez najwspanialszych, jak to czasami bywa z pogodą, która z deszczowej i mglistej w jednej chwili przemienia się w słoneczną i świetlistą, roześmiał się i po raz drugi w tym dniu sięgnął po zapalniczkę i zapalał je jedna po drugiej i twarz moją oświetlał. Nie mogły to być takie zwykłe sobie zapalniczki, bo długo się paliły i nie gasiły ich budzące się od czasu do czasu podmuchy wiatru. Myślę, że musiały to być zapalniczki specjalne, sztormowe, nie gasnące nawet w deszczu i wichurze. A przyznać muszę, że było mi przyjemnie patrzeć na ślizgające się w powietrzu płomyki i widzieć, że rozpalają się w mroku tylko po to, żeby ujawnić w nim moją twarz, moje włosy, moje czoło, mój nos i moje usta. Może nawet ktoś tam był, gdzieś na drugim końcu pola, może dostrzegł te ogniki i teraz rozmyślał ciężko skąd się one biorą? Może różnie tam kombinował, głowił się, umysł wyteżał, a na najprostsze nie wpadł? Zresztą nie było to takie ważne, choć chciałabym, żeby ktoś nieznanymi był świadkiem tej niezwykłej sceny wśród pól. Ważne było, że gdy zapalniczka rozbłyskiwała w dłoni małego, dłoń ta, utrudzona przecież i niezbyt kształtna w najdelikatniejszy klosz się zmieniała, w abażur cudowny, w lampę, o której tu i ówdzie w bajkach się słyszy.

Kiedy wracaliśmy przytuleni do siebie potykając się o grudy ziemi i kalecząc sobie stopy na ścierniach, uświadomiłam sobie, że innego człowieka prowadzę, że innym człowiekiem był mały, gdy tu przychodził i innym jest teraz, gdy wraca. Matka jego niešťczęśliwa, matka jego rozpłakana, matka jego bolesna musiała go kiedyś oddać wojnie tak jak stał, pożegnać go wbrew swojej woli nie wiedząc czy powróci. I teraz ja, nim jeszcze dojrzałam do rodzinnego domu, odebrałam go tej niszczycielce, odpędziłam ją, przeklekałam - ani mi się waży tu wracać. To mi się udało, trzeba



powiedzieć, nie chwaląc siebie. Wracaliśmy i mój mały teraz w roli opiekuna występował, za rękę mnie prowadził, oczy wytrzeszczał, żeby w porę dostrzec dziury w ziemi i tak mną pokierować, abym przypadkiem w którąś z nich nie wpała. Tak go widocznie nauczyli lub w jakiejś książce o tym wyczytał. A gdy znaleźliśmy się wreszcie w miasteczku, gdy powitały nas pierwsze domy przyczajone jak wielkie zwierzęta w gęstwinie ogrodów, gdy miękkie, aksamitne pole zastąpił bruk nasz szawetny, szliśmy dalej nie kryjąc się, jawnie kroczyliśmy nie bacząc, że nie jeden długi język ukrywał się w ciemności. Prosto, w stronę placu zmierzaliśmy, nad którym unosiła się wielka kłuna, gwar rozmów, dźwięk instrumentów, okrzyki, śpiewy.

Można się było spodziewać tego ogólnego zbratania, tego jednego olbrzymiego kłębowiska, tego wiru postaci i głosów. Powodów na to było dosyć, a jeszcze w czasie naszej nieobecności niezwykłej doszedł i ten, że wszyscy sobie dobrze popili i nikt nie zwracał już uwagi na to, że może się czymkolwiek różnić od drugiego. Akordeonista grał kołysząc się zabawnie w pasie, dziewczyny nasze tańczyły z przybyszami i ścisnęły się z nimi ~~bez żadnej wstyd~~ na oczach własnych matek, mężczyźni kilku sprzeczało się na boku czy przypadkiem nie można było prędzej Niemców przepędzić, a babiny, jak zwykle niestrudzone, jak zwykle energiczne mimo starości, obracały zapamiętałe jęzorami pilnie rozglądając się na boki, by nie uronić nic z tego, co działo się wokół nich, wierząc święcie, że to, co tu dostrzegą, co usłyszą, co wywęszą starczy im na dobrych kilka miesięcy. A ojciec mój rodzony słusznie w miasteczku Awanturnikiem zwany, siedział na przywiązany do pala koniu, butelkę trzymał i co chwilę przystawiał ją do ust, bo widać nie starczyło mu to, co już wypił, widać było mu wciąż mało. I ledwie trzymając równowagę próbował chrapliwym głosem,

głosem w głębi którego drzemała nieujarzmiona siła, śpiewać piosenkę wojenną, tyle że według mnie wojny mu się jedna z drugą pomyliły. I tak się darł, tak wykrzykiwał, że wielu nagle ucichło i zaczęło mu się przypatrywać. Umilkł po chwili i mój ojciec i niespokojnym wzrokiem wkoło potoczył, złym wzrokiem po twarzach gapiów przejechał, a potem znieruchomiał wpijając się tym samym złym i niespokojnym wzrokiem w jeden, sobie tylko znany punkt.

- A ty co? A ty, co tu? - krzyknął.

I jednym skokiem, nim jeszcze ktokolwiek uświadomił sobie, co jego krzyk znaczy, zeskoczył z konia i kilkoma susami, zważając z rozpędu o ognisko, wzniesając snop iskier, dopadł jakiejś postaci i wyciągnął ją na środek placu. Nim w ofierze ojca rozpoznaliśmy właściciela piekarni, już go mój rodzic twardo za kark trzymał, już nim potrząsał, już duszę z niego wywlekał.

- A ty co? Razem ze wszystkimi? Do wspólnego kółeczka? Za rączki i do gromadki? Zapomniał wół... To ja przypomnę. Futerko, powózka, dumna mina. A tymczasem w piekarni dynda trup w białym kitlu, żaden widoczek? Protokółik, sekcja zwłok. Tak, targnął się na życie. Smutny fakt. Nikt nie zaprzecza. Ja też nie. Targnął się rzeczywiście. Tylko dlaczego, panie piekarz? Czyste łapki, przygnębiona minka, pogrzebek jak się patrzy. Żona nawet łezkę uroniła. W porządeczku...

- Ależ ja, ależ ja... - mamrotał przestraszony właściciel.

- Co ty? - ojciec mój na to. - Teraz ja. Wynocha. Takich to ja tu nie potrzebuję.

Przypominał w tej chwili rozjuszona, dumna bestię mój ojciec. Przypominał złego boga, księcia piekieł z wiszącego w kościele obrazu. Przypominał mi olbrzyma. Złapał właściciela piekarni za kark i podniósł go niemal do góry, niczym magik kłaniający się

przed publicznością z wyciągniętym z kapelusza królikiem w dłoni. A potem ruszył naprzód, przedarł się przez stłoczony wokół ludzki krąg i cisnął piekarza w piach jak worek maki.

Nikt nic nie powiedział jak wrócił. Nikt go nie powitał, nie wyciągnął ku niemu przyjaznej dłoni, nie skinął potakująco głową. Wszyscy stali jak uderzeni obuchem, czekali aż im się w głowach rozjaśni. Zakłócił zabawę mój ojciec, stale coś zakłócał, ciągle wydzierał się przed wszystkimi, własną sprawiedliwość wymierzał, nieobliczalne i gwałtowne było jego usposobienie. Stał teraz pośrodku placu oświetlony płomieniami, których blask pełgał po jego włosach, barwiąc te włosy na rudo-czerwony kolor. I poczulk chyba, że musi coś przyglądającym mu się bacznie ludziom wyjaśnić, wytłumaczyć, przekonać ich co do jednego, że postąpił słusznie, że inne wyjście nie istniało. A że zawsze mu brakowało słów, że nie umiał ich dobierać, że jak w domu coś powiedział raz na dzień to było dobrze, stał dalej nieruchomiejąc coraz bardziej, w stwardniałą, w kamieniu wykutą rzeźbę się zmieniając. I gotowa już byłam uwierzyć, że ojciec mój zmienił się w rzeźbę, gdyby wiatr wzniecony być może przez ogień nie targał tak uparcie jego płomienistych włosów. Cisza panowała zupełna i słychać było tylko ten wiatr i syk ognia. I niespodziewanie w ten poszum i w ten syk wydarł się narastający z daleka tętęt konskich kopyt. Ulicami miasteczka, od strony stłoczonych nad strugą stodół pędzili jeźdźcy i nikt nie wiedział, kim ci jeźdźcy są i skąd przybywają. Ulicami miasteczka pędzili jeźdźcy i nikt nie wiedział, co zwiastują. Ulicami miasteczka pędzili jeźdźcy i nikt nie wiedział ilu ich było. Chwilami, gdy wpadali w piach stukot kopyt o bruk ustawał, ale zaraz odzywał coraz bliższy i bliższy wż wreszcie ludzie zaczęli odwracać głowy z ciekawości, aż i ja głowę odwróciłam, i mały, i ojciec mój. Nic nie widziałam. Cie-

mność wszystko zaskaniała i tylko raz, przez sekundę, na tle białego muru otaczającego kościół, spostrzegłam cwałujące konie i ludzi-nieludzi przytulonych do wyciągniętych w przód końskich szyji. To był zwykły znak te wyciągnięte szyje, ci jeźdźcy na nich leżący, ta szybkość z jaką się poruszali. Za późno jednak przyszedł ten znak nieszczęsny. Zbyt silnie byliśmy pochłonięci zabawą, za wcześnie uwierzyliśmy w zwodniczy spokój letniej nocy. Jeszcze tylko jakiś okrzyk, nie wiadomo skąd, nie wiadomo czyj, brzącały krótko i złowrogo, brzącały jak komenda. Potem już nie było na co patrzeć. Potem już nas dopadli. Zanim rozległy się pierwsze strzały i jęki rannych spostrzegłam jeszcze wznoszące się nad tłum kopyta osadzonego w miejscu konia i wykrzywioną twarz jeźdźca. Trzask, trzask i trzask. Błysk, błysk i błysk. Dym i oddalający się galop. Pani wojna, zbrodniarka zapędzona do ciemnej jasłanki, przywalona ciężkim głazem, wyszła ku nam swoje niedobitki. Nic już nie mogli zdziałać. To był ich żabędzi śpiew. Nocna szarża, ostatnia maskara przed zejściem w mrok.

Ale zabili mi mężego. Scieli go z nóg, przygwoździli do ziemi. Leżał na niej jeszcze uśmiechnięty, zaciekawiony, wsłuchany w tament nie istniejący już tętent. Podbiegłam, przyklękłam nad nim, przytuliłam głowę do jego piersi w nadziei, że usłyszę choćby gasnące bicie pogrążonego w ciemnościach ciała serca. Ale ono już milczało, milczało uroczyście i dumnie, podczas gdy dokoła wznosiły się jęki i płacz, krzyki i zawodzenia, nawoływania i wycie rannej kobiety. Leżał długo mój mąż, a ja trwałam pochylona nad nim. Leżał tak długo, dopóki ojciec mój nie wziął go na ręce, dopóki nie poniósł do tam, gdzie niesiono ciała innych.

Wojciech Roszewski

W. Roszewski, Toruń ul. Moniuszki 45 m. 24 tel. 87-85